A mury (wyobcowania) runą…

10 stycznia 2019

Rozmowa z osobami „spoza bańki” ideologicznej jest trudna. W naszym kraju chyba trudniejsza, niż gdzie indziej. Jeśli nie poddamy się od razu i nie rozstaniemy w obrazie i płomieniach gniewu, to po jakimś czasie, być może, czeka nas bardzo dziwne poczucie – coś, co przypomina te sny, gdy stoimy z rozmówcą po dwóch stronach szklanej ściany i krzyczymy do siebie, ale nic nie słychać, bo ściana jest idealnie dźwiękoszczelna. Można nawet próbować się uśmiechnąć. Czasami uśmiech zostanie odwzajemniony. To bardzo miłe, ale też nie zmienia faktu podstawowego, jakim jest brak możliwości porozumienia. Takie poczucie – to wyobcowanie.

Wyobcowanie bierze się stąd, że brak nam tego, co ludzi wiąże w sposób umożliwiający komunikowanie się na poziomie naszego człowieczeństwa, poziomie kulturo- i strukturotwórczym. Brak nam wspólnego języka, w którym można by wyrazić ważne kwestie dotyczącego aktualnego kontekstu. Używamy słów, które nas dzielą, nie łączą, używamy określeń, które nie przystają do sytuacji. Nie możemy się dogadać. To nie dlatego, że wszyscy Polacy to ksenofobiczni prawacy. Nie dlatego, że młodzież jest rozwydrzona i kapryśna. Nie dlatego, że w Warszawie i wielkich miastach mieszkają wypasieni na sojowym latte lewacy

zawracający wszystkim głowę wywodami o jakichś wydumanych żeńskich końcówkach. Nie mamy wspólnego języka, bo nie działa publiczna sfera odpowiedzialna za tworzenie go w formie będącej w stanie odzwierciedlić to, co dla obywateli najważniejsze, aktualne i zajmujące. Jak w koszmarnym śnie jesteśmy skazani na nieartykułowany wrzask, który czasami posługuje się słowami i wtedy są to słowa plugawe, złe, pełne agresji. Brak nam słów, które łączą i budują, metafor, obrazów, ideałów, które kuszą, wartości, które pobudzają do wspólnego działania.

Taki język powinny tworzyć media. Nasze media na ogół, w swej ogromnej masie, zajmują się raczej własnymi projektami – kultywują bańki, w których gromadzimy się i zbijamy razem w małe, odrębne gromadki. Często są to gromadki niezdolne do wspólnego twórczego działania, bo język baniek nie inspiruje, lecz zapewnia coś w rodzaju ciepła. Między nimi szaleje chaos coraz bardziej groźnego, niezrozumiałego świata. Tak to wygląda, mniej więcej. Dlatego właśnie każda obywatelka i każdy obywatel pragnący wyjść poza bańkę teraz lub w przyszłości powinien uznać za swój obowiązek wspierać niezależne media. Akcja finansowego wspierania „Nowego Obywatela” to jeden ze sposobów wywiązania się z tego obowiązku. Prenumerować, czytać, wspierać, podarować w prezencie wujkowi „Nowego Obywatela”, „Magazyn Kontakt”, „Tygodnik Powszechny”. Zaprosić niezależnego dziennikarza na piwo. Złapać za klawiaturę i napisać tekst.

Tak, wiem, że to ostatnie jest trudne. Bardzo trudne. Pisać jest ciężko, nie każdemu dane jest pióro lekkie, zwinne, sprężyste. Ja, na przykład, mam bardzo ciężkie pióro, jak większość naukowców. Każdy ze swoich tutejszych felietonów pisałam długo, po kawałku, wracałam i zmieniałam, przerabiałam i wymyślałam na nowo. Każdy zajmował mi właściwie bity miesiąc i wiem, że efekt jest daleki od dziennikarskiej lekkości i lotności. Piszę tak jak piszę, inaczej nie umiem. Ale też piszę to, co piszę i nie umiem inaczej.

Nie jestem w tym osamotniona. Ba, jeśli chodzi o udrękę pisania, to jestem w świetnym towarzystwie (z efektami niestety już nie, ale trzeba być wdzięcznym za dobrą kompanię tam, gdzie się przytrafia). „Gdybym wiedział, skąd biorą się dobre pieśni, chodziłbym tam częściej" – powiedział Leonard Cohen. „Bycie twórcą to trochę tak jak bycie zakonnicą – jest się zaślubionym tajemnicy". Podobnie uważała pisarka Ursula Le Guin. Pisanie to ciężka fizyczna praca, do wykonania której niezbędne są żywotność, cierpliwość i dyscyplina. Dobre dzieło jest darem i przychodzi wtedy, kiedy chce, jeśli szanuje się tajemnicę i trud jego narodzenia. Czytanie i pisanie, według Le Guin, nie są czynnościami programowalnymi i wyraźnie osadzonymi w miejscu i czasie, ale uczestnictwem w czymś poza ich granicami, w przestrzeni, która ma swoje własne rytmy i swoje prawa. Z podobnym szacunkiem o twórczym pisaniu mówili poeci właściwie od zawsze, między innymi wielki wizjoner epoki romantyzmu William Blake i współczesna twórczyni Patti Smith.

W taki sposób piszą czasami też mniej uduchowieni pisarze – pisarze naukowi. Szwedzki socjolog Stefan Svallfors poświęcił pisaniu swoją najnowszą książkę „Forskningens mörker" („Mroki badań naukowych"). Aby napisać tekst naukowy, trzeba wejść w najmroczniejszą przestrzeń ducha: niepewności, gniewu, lęku, walki z własnymi ograniczeniami aż do samo-nienawiści. Gdy pisze się coś, czego jeszcze nie ma, nie istnieją łatwe ścieżki ani oczywiste kreacje. Trzeba czasami wbić się w nieracjonalność, zaufać własnej słabości, po omacku zmagać się z pojęciami, które nie wiadomo w co się ułożą – i czy w ogóle to zrobią. Naukowiec, tak samo jak poeta, jak pisarz, choć z mniej pięknym skutkiem, chwyta gołymi rękami chaos za gardło. Jak pisze Svallfors, pisarz naukowy musi nauczyć się być wystarczająco obsesyjnym, osiągać odpowiedni poziom przerażenia, poczuć właściwą dozę panicznego poszukiwania wyrazu tego, co niewyrażone. Często nie wychodzi nic, czasami coś, z rzadka – to, co trzeba, by pogłębić zrozumienie świata.

Wszystkie te próby, podejmowane szczerze, są potrzebne. W

nauce rozumianej jako instytucja społeczna sukcesem nie jest Noblista. Sukcesem jest środowisko, w którym jedni chybią, inni trafią, ale wiele osób próbuje i czasami osiągają pozytywny rezultat w wyniku tej szalonej walki z chaosem. Z rzadka jest to rezultat doceniony, wyróżniony nagrodą. W takim ujęciu uroczystości noblowskie to święto nas wszystkich, szarych naukowych mrówek w naszych szarych mrowiskach. Taka praca jest przede wszystkim trudna, ale także cudownie satysfakcjonująca, choć nie na żadnym oczywistym i prostym poziomie. Idzie na nią dużo energii. Pisanie o nauce do mediów to z kolei inna działalność, która nie zawsze z naukową obsesyjnością idzie w parze. Nauka absorbuje, ciężko dzielić czas i uwagę między nią a coś innego. A popularyzacja nauki lub pisanie felietonów wymagają innych umiejętności, innego warsztatu. I tak na przykład amerykański pisarz i biochemik Isaac Asimov świetnie pisał o nauce, ale wielkim naukowcem nie był. Wiele i wielu z nas widzi, że brakuje im do tego talentu, że ich pióro jest, jak moje, ciężkie i toporne. A gdy próbujemy, to po to, by dorzucić się do tworzenia wspólnego sensownego języka. Podać cegłę. Budujemy.

Budujemy na obrzeżach, bo tam jest przestrzeń do takich działań. Centrum od dawna się zamknęło, bywało chwilami naprawdę szczelne na treści odmienne od wąsko określonego przekazu. Wiem coś o tym, bo od dość dawna próbowałam zabrać głos w mediach na tematy, które uważam za istotne. Bywało, że kontaktowali się ze mną dziennikarze z dużych pism. Mówiłam lub pisałam to, co wiem o różnych zjawiskach zarządzania, na przykład o kulturze organizacji: że nie należy nią manipulować, że jest to żywy oddolny twór ludzki. Potem dostawałam do autoryzacji wypowiedź zmienioną w swoje przeciwieństwo, gdzie niby głoszę, że manipulować trzeba, a zysk uświęca środki. Nie autoryzowałam. Tekst szedł do śmieci, a nauczony przykrym doświadczeniem dziennikarz więcej nie dzwonił. Albo od razu cała wypowiedź szła do lamusa i nigdy nie ujrzała światła dziennego. Odwiedzali mnie dziennikarze dużych stacji telewizyjnych i przeprowadzali wywiad po

starannym wymakijażowaniu mojej twarzy i naświetleniu pomieszczeń. Mówiłam, że uczenie się zarządzania to nie jest elitarny program tylko dla szefów i biznesmenów, lecz wiedza, która przede wszystkim przydaje się szeregowym pracownikom. Wywiad nie był puszczany na wizji. Nie tak dawno temu dobra dziennikarka dostała od jednej z głównych polskich gazet zamówienie na wywiad ze mną i współautorem książki o zarządzaniu. Wywiad był świetnie przygotowany i przeprowadzony, a my mówiliśmy o sprawach bliskich nam i naszym badaniom: o zarządzaniu jako głęboko problematycznej i trudnej funkcji społecznej. Ku zdziwieniu dziennikarki wywiad zapadł się w czeluść. Nie było żadnego odzewu. Wreszcie redakcja odpowiedziała jej, że nie, bo za to trudne. Nikt nie zrozumie. Poszła z tekstem do jednej z bardziej marginalnych gazet i wywiad ukazał się szybko i sprawnie. Czy ktoś przeczytał i zrozumiał? Myślę, że tak, wiele razy spotkałam osoby, które mówiły, że czytały i że to nowe rzeczy, ale ciekawe i pobudzające do myślenia.

Czemu akurat nieprawomyślne zarządzanie było (i jest!) tak silnie odrzucane przez główny nurt mediów? W innych znanych mi krajach też bynajmniej nie króluje ono w prasie i telewizji, ale jednak pojawia się, można je znaleźć nawet w wysokonakładowej prasie lub w popularnych kanałach telewizji. U nas większość ludzi nie ma pojęcia, że w ogóle istnieje coś takiego, czym się zajmuję całe moje zawodowe życie: zarządzanie dla ludzi (nie dla zysków). Nieobecna jest zarówno tematyka, jak i zrozumiały język jej opisu. Dlaczego? Naprawdę nie mam pojęcia. Nie wiem i będę wdzięczna za wszelkie podpowiedzi Czytelników. Jak to w ogóle jest możliwe? Ten język może się przecież przydać nie tylko moim studentom, nie tylko organizatorom z mojego terenu badawczego, takim jak spółdzielcy z Kooperatywy Dobrze czy Spółdzielni Margines. Może się przydać do opisu niedostatków otaczającej nas wszystkich rzeczywistości, ale też do opisu własnych celów i aspiracji. Nie jest to może najważniejsza i najpilniejsza potrzeba przeciętnego Polaka i Polki, ale też i nie najmniej

istotna. Więc dlaczego nie? A może inaczej – skoro nie umiem na to pytanie odpowiedzieć, to zamiast tego zapytam: komu takiego języka może brakować? Myślę, że przede wszystkim klasom społecznym oprócz obecnie dominującej.

Media głównego nurtu w Polsce mówią przede wszystkim językiem klasy średniej – transformacja miała wszak polegać na tym, że inne klasy staną się niepotrzebne, a cała rzeczywistość społeczna będzie radośnie współtworzona i współdzielona przez gigantyczną, coraz bardziej zamożną, coraz lepiej wykształconą i mobilną globalnie klasę średnią. Takie nadzieje rozpalała w nas wizja ciągłego postępu i wzrostu, wymagająca poświęcenia i rezygnacji z konfliktów, wyrzeczenia się dążeń i interesów innych klas, odrzucenia form realizacji tych interesów poprzez, na przykład, działalność związków zawodowych. Mieliśmy się edukować, brać na klatę przejściowe błędy i wypaczenia, w pocie czoła pracować, czcić szefa jaki by nie był, być wdzięcznym praco-„dawcy", że pracę „dał", a, jeśli jesteśmy wystarczająco dzielni i wyedukowani – sami firmę założyć. Mieliśmy wziąć się za inwestowanie w siebie i nasze dzieci, nasze wnuki, a świat miał nam to wynagrodzić i obsypać nas złotem. Ta obietnica – że teraz wszyscy będą klasą średnią – od samego początku była niemożliwa. Zostaliśmy wprowadzeni w błąd. Kapitalizm nie jest i nie będzie nigdy oparty na klasie średniej. Ludzie w wielu krajach zaczynają sobie to uświadamiać, ale nie ma już etosu ani języka innych klas.

Mieszczanie wszystkich krajów nie połączą się, bo zostali stworzeni raczej do siedzenia w swych mieszkaniach. Nie-mieszczanie też się nie połączą, bo nie mają wspólnego języka. Nie wystarczy złapać się za ręce. Ba, jak się przekonaliśmy ostatnio, nie wystarczy nawet odpalić race. Człowiek, by móc z drugim człowiekiem coś społecznie tworzyć, musi porozumieć się na poziomie wartości i symboli. Do tego niezbędny jest język. Ale jest i druga strona medalu: jak dowodził już sto lat temu Ludwig Wittgenstein, język istnieje tylko wtedy, gdy służy porozumiewaniu się. Tylko wtedy można go rozbudzać,

pielęgnować, uczyć się wyrażać swoje wyższe uczucia – podobne troszkę, wbrew pozorom, do mięśni: niećwiczone zanikają. Do tego potrzebne są człowiekowi sztuka, język i metafory. Wspólnoty myślenia, czucia i komunikacji tworzą zaś i rozpowszechniają media. Gdy media głównego nurtu spłaszczają i ujednolicają rzeczywistość, potrzeba mediów niszowych i marginalnych. Dlatego są one u nas absolutnie arcyważne.

Autorstwo: prof. Monika Kostera
Zdjęcie: dimitrisvetsikas1969 (CC0)
Źródło: NowyObywatel.pl